

Zofia Wonka
po mężu Galina

Wspomnienia

z Kazachstanu

© Copyright by Zofia Wonka po mężu Galina

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w niezmienionej formie. Zabronione jest wprowadzanie jakichkolwiek zmian w zawartości publikacji bez pisemnej zgody autora.

Opracowanie techniczne: *Centrix.pl* (<http://www.centrix.pl/>)

[Sybiracy.pl](http://www.sybiracy.pl)

2005

Nazywam się Zofia Wonka, po mężu Galina. Urodziłam się 15.IV.1930 r. Pochodzę z Leska, obecnie woj. krośnieńskie (do 1939r. lwowskie). Do sierpnia 1939r. mój Ojciec był strażnikiem miejskim. W sierpniu 1939 r. został powołany do Obrony Narodowej. W czasie działań wojennych znalazł się na Węgrzech i przebywał tam w obozie dla internowanych żołnierzy polskich. Po wkroczeniu Niemców na Węgry został wywieziony do Niemiec, gdzie pracował w fabryce części do samolotów traktowany jak niewolnik.

W dniu 13.IV.1940 r. o godz. 3:00 nad ranem obudziło nas pukanie do okna i głos sąsiada, Stanisława Romowicza (Ukraińca), który, wołał moją Mamę:

- „pani Wonkowa, niech pani otwiera, ja nie jestem sam, jest NKWD!”

Na kilkakrotne wołanie sąsiada, Mama nie otworzyła. Dopiero jak usłyszała w języku rosyjskim "chazajka atkrywaj zdzies NKWD", wstała, zapaliła lampę i wyszła otworzyć drzwi. Za chwilę weszła z podniesionymi rękami, za nią Romowicz niosący lampę, komandor za nim komandir NKWD i dwóch krasnoarmiejców uzbrojonych w karabiny i bagnety na ostro. Sąsiad i komandir rozsiedli się przy stole, Mama stała nadal z podniesionymi rękami. Komandir rozłożył papiery, pytał Mamę o nazwisko, imię i adres. Mama odpowiedziała. Później kazał mówić sąsiadowi, a ten wypowiedział następujące słowa: „Przyszedłem poświadczyć, że pani mąż uciekł przed Sowietami, bo nie chciał sowieckiej władzy służyć, że pani przechowuje pistolet, i że pani nie może tu mieszkać, bo jest blisko granica na Sanie, a pani może zajmować się szpiegostwem." Na te słowa Mama płacząc powiedziała: „Dlaczego pan kłamie? Pan wie, że mój mąż nie uciekł przed sowietami, ani ja nie przechowuję broni, ani nie interesuje mnie szpiegostwo”. Wtenczas Romowicz powiedział: „Niech pani dużo nie gada, bo pojedzie jeszcze nie tam gdzie ma jechać. Komandir zapytał Romowicza, „Szto ona gaworit?” On odpowiedział, że Mama powiedziała, że nie odda broni i nigdzie nie chce jechać. Komandir pozwolił Mamie opuścić ręce i powiedział "Chozajka, oddaj dobrowolno orużje, my tiebia peresylim tolko w druguju obłast, ty zdzies nie możesz pereżywat, budiesz szpionażom zanimatsia". Mama odpowiedziała: „Nie mam pistoletu, mąż oddał do Magistratu, bo to był służbowy”. Wtenczas komandir powiedział "Sdielajem obisk". Przeszukali mieszkanie i nie znaleźli. W protokole napisał "Wo wremia obiska orużja nie obnarużeuo". Protokół ten podpisał komandir, świadek Romowicz i moja Mama.

Później komandir spisał umeblowanie i powiedział "Choziajka, sobirajsia, adiewaj dietki, skoro przyjedut podwody pojediesz". Mama strasznie płakała, ale widząc, że to nie żarty zaczęła pakować pościel i odzież, do czego się dało. Sąsiad widząc, że komandir nie zabrania Mamie zabierać naszych rzeczy kilka razy szeptał mu do ucha, żeby nie pozwalał, a ten odpowiadał na głos "Pust zabirajet". Do tego jeszcze komandir pozwolił naszej sąsiadce pani Joannie Boraczyskiej, starej kobiecie, wejść do mieszkania i pożegnać się. Sąsiadka przy okazji przyniosła kilka worków i torby, żeby Mama miała do czego się pakować. Nam pozwolono zabrać wszystko: odzież, pościel i naczynia kuchenne, maszynę do szycia "Singer" kupioną w 1939r. Sąsiad Romowicz nic nie skorzystał, pomimo starań jego brata Władysława, żeby jeszcze z nami pojechała nasza ciocia (Ojca siostra, która razem z nami nawet nie mieszkała). Gdy ją zawiadomili, że bratową wywożą, przybiegła pożegnać się. Komandir widząc, że ma to samo nazwisko kazał Jej z nami jechać. O godz. 7:00 już siedzieliśmy na wozie, a wszystkie rzeczy umieszczone zostały na drugim. W domu miało zostać ciasto - rozczyn na chleb, który Mama zrobiła w nocy przed przyjściem NKWD, mąka oraz drewno do upieczenia chleba, ale komandir pozwolił zabrać to wszystko sąsiadce Władysłwie Woźniak, żeby upiekła chleb. Poleciał też zajęcie się naszą krową. Po naszym wyjściu z mieszkania drzwi zostały zapieczętowane.

Komadir i sąsiad odeszli, a krasnoarmiejcy asystowali nam podczas podróży. Do stacji kolejowej Olszanica oddalanej kilka kilometrów od Leska. Tam już czekały na nas wagony towarowe z zakratowanymi kolczastym drutem oknami. W wagonach było bardzo ciasno. Ludzie mieli legowiska na podłodze i półkach. Nas umieszczono na najwyższej półce, pod sufitem. Jeszcze zanim pociąg z nami odjechał, przyjechali pożegnać się Mamy Rodzice i Brat. Przywieźli trochę żywności oraz trochę rzeczy i pościel dla Cioci, która była tylko w tym, co miała na sobie.

Pociąg dojechał do Przemyśla. Tam przeładowano nas do towarowych wagonów rosyjskich, o wiele większych, na szeroki tor. Bagaże trzeba było oddać do "gruzowych wagonów". Przy sobie można było mieć pościel, trochę ubrania i żywności. Codziennie otrzymywaliśmy po pół okrągłego bochenka chleba na osobę, na 5 osób wynosiło to 2 i 1/2 bochenka. Mama składała chleb do worka. Nie nadążaliśmy jeść, bo był suchy. Nie mieliśmy co pić. Z wodą było krucho.

Nieraz krasnoarmiejcy podali wiaderko "kipiatku", ale ta woda nie nadawała się do spożycia, gdyż na wierzchu pływała ropa. Po zatrzymaniu się pociągu na stacjach, Rosjanie podchodzili pod wagony i prosili o chleb, a my o wodę. I tak przez okna wagonów odbywała się wymiana. Polacy rzucali chleb, spuszczaali dzbanki i butelki, obwiązane sznurkami i wciągali wodę.

Wieźli nas tak około 2 tygodni. Jedna lokomotywa ciągnęła, a druga pchała, kilkadziesiąt wagonów z ludźmi. Było ciasno. Cały czas sprawdzali obecność. Wchodzili do wagonów krasnoarmiejcy i wyczytywali ludzi ze spisu. Każdą osobę wyczytaną musieli zobaczyć. Chorych i zmarłych zabierano. Przeważnie były to starsze osoby i dzieci. Pamiętam, jak Mama zamartwiała się i prosiła Boga, żeby tylko któraś z nas nie zachorowała. Miałam dwie siostry w wieku 6 lat i 3,5 roku. Na szczęście, nikt z naszej rodziny nie zachorował, ani nie zmarł podczas podróży.

Dojechaliśmy do stacji kolejowej Martiek w Kazachstanie. Tam wyładowali cały transport ludzi i bagaże z "gruzowych wagonów". Kto miał jakiś bagaż musiał iść na tą stertę by go odszukać. Różnie to było, bo ludzie zamieniali na swoją korzyść i kradli jedni drugim. Mama z Ciocią poszły po bagaże, a ja pilnowałam siostrzyczek i tego, co mieliśmy przy sobie. W tym czasie przyszło dwóch mężczyzn i zabrali nam duży worek chleba. Mama z Ciocią znalazły prawie wszystkie bagaże, bo były podpisane kopiowym ołówkiem na mokro.

W Martuku zakwaterowali nas na krótko w domach murowanych z czerwonej cegły, które nie były jeszcze wykończone. Nie było wstawionych okien, tyle, że był dach nad głową. Zwoływali dorosłych i mówili, że roześlą nas po 10-15 rodzin po kolchozach i żeby zapisywać się, kto z kim chce być razem. Ale niestety, ci, co się zapisywali, żeby być razem i tak zostali wymieszani w taki sposób, że nawet nie wiedzieli, gdzie kto jest, jak zostali rozwiezieni.

Z Martuka wywieźli nas ciężarówkami. My trafiliśmy do wsi Michajłowka, Chobdyńskij rejon, Aktiubinskaja obłast. Przyjechaliśmy przed 1 maja. Step był pokryty różnokolorowymi tulipanami. Pięknie to wyglądało. Kiedy wyładowali nas z samochodów ciężarowych, zrobiło się zbiegowisko. Kto mógł przyszedł zobaczyć Polaków. Ludzie płakali - mówili „Co my na tej pustyni będziemy robić?”.

Predsedatiel kołchozu, który był obecny przy naszym przyjeździe powiedział: "Raboty, piesku i solnca wsiem chwatit, przywykniete".

Wieś była zamieszкана w większości przez Niemców. Domy stały równo, w 4 rzędach, co tworzyło wzdłuż wsi dwie ulice. Kilka domów było okazalszych, wewnątrz miały sufity z desek. W innych domach sufity były strome. To był od razu dach. Nie było strychu ani podłóg drewnianych, tylko ubita równo ziemia jak na klepisku. Domy były zbudowane z gliny, wody i plew ze zboża, z takich "kirpiczy" (podobne wielkością do terażniejszych pustaków). Domy gliniane z tej masy były trwałe, nie rozmywały się z braku deszczu w tym klimacie. Ludzie, którzy posiadali więcej bagażu, byli chętniej przyjmowani na stację, bo mogli coś więcej dać. Kto nie miał niczego, był w jeszcze gorszej sytuacji. Mieszkania nie dali. Każdy sobie musiał szukać. Pieniądzy nie było. Ale na co też by się przydały, jak niczego nie było do kupienia? Można było tylko coś wymienić za żywność, której tubylcy niewiele posiadali.

Byliśmy oddaleni 500 km od stacji kolejowej, od (powiatu) rejonu 350 km. Wieś od wsi była w odległości od 80 km do 120 km. Bez przepustki z Selsowietu nie wolno było nigdzie się oddalać. A do tego, kto by się odważył, skoro nie było wyznaczonego traktu, ani drzew przydrożnych, ani żadnych słupów, ani drogowskazów? Niebo i ziemia. Po prostu piach. Drogi były polne, zawiane w lecie piachem, w zimie śniegiem, a do tego jeszcze wilki chodziły sobie przez cały rok. Najgorzej było w zimie, gdy drogi były zaśnieżone. Wtenczas błądzili w stepie ci, co musieli jechać gdzieś służbowo. Mama z Ciocią pracowały w kołchozie. Wykonywały różne prace w polu, na wiosnę i w lecie. Podczas pilnych prac w polu, do domu przyjeżdżały raz na dwa tygodnie. Mieszkały w stepie, w wozach podobnych do wagonów. Ziemia, którą kołchoz uprawiał była oddalona daleko od wsi, dlatego nie opłacało się codziennie ludzi dowozić wołami, bo trwało to za długo. Tylko wodowozy dowoziły wodę co dzień w step, w drewnianych beczkach.

Podczas nieobecności Mamy i Cioci ja musiałam opiekować się siostrami. Siostry moje chodziły do "Dietsadu". Przebywały tam od rana do popołudnia, dostawały 3 razy na dzień jeść. Nie były takie głodne jak ja. Nieraz to nawet coś dobrego dostawały do jedzenia. Dla dzieci kołchoz nie żałował na wyżywienie. Było mleko, kasza jaglana, mąka na zacierki, chleb też był z lepszej mąki, tak, że można było

wytrzymać. "Dietsad" był czynny przez kilka miesięcy w czasie wiosny i lata. W zimie nie było pracy w polu, a dzieci nie miały ciepłych ubrań, więc siedziały w domu.

Pierwsza zima była dla nas bardzo ciężka. Trzeba było przyzwyczajać się do zimna i głodu. Moja najmłodsza siostra, po kilka razy na dzień płakała i wołała "Mama chleba!" Siostry moje szybko nauczyły się niemieckiej mowy. Między dziećmi, nie chciały wiele mówić po polsku. Ja musiałam starać się o to, żeby nie zapomniały języka polskiego.

Mama pracowała w zimie w oborach, przy bydle. Trzeba było karmić, poić, obornik wywozić, pielęgnować chore sztuki. Nieraz Mama w zimie musiała jechać z kilkoma jeszcze osobami saniami w step, po słomę do stert. Dostawała kilka zapalek z kawałkiem tekturki z siarką i widły na długim drążku. To miała być obrona przed wilkami. Trzeba było rozpalić ogień, gdyby wilki napadły. Zawsze płakałam, gdy Mama musiała jechać. Bałam się, żeby Mamy wilki nie zjadły.

Jeszcze było trochę pracy. 15 km od wsi płynęła rzeka Chobda. Koryto miała bardzo głębokie, ale przez upały wody zostawało tylko jak w potoku. Po przyjeździe Polaków udoskonalono system nawadniania: Rosjanin - ogrodnik Władimir Nikora oraz Polak - pan Jan Biodrowicz, który pomagał mu i doradzał. Nawadniano działkę ziemi, na której sadzono kartofle, kapustę, buraki ćwikłowe, pomidory, cebulę, Ziemia nawodniona była bardzo urodzajna, wszystkie warzywa były dorodne. Na trudodni nie dawali, gdyż wszystko zabierano do powiatu (rejonu). Mama zabierała mnie ze sobą do zbioru warzyw. Za to miała więcej wypracowane, a ja dostałam zupy ze wspólnego kotła. Była to zupa z warzywami, których było zawsze brak.

Do stałej pracy nie chodziłam, bo w naszym kółchozie nie zatrudniali dzieci zarobkowo. Dzieci szkolne pracowały tylko podczas akcji tępienia susłów. Zbierały też kłosa, przeważnie na proso. Dzieci chodziły do szkoły. Tylko w zimie, kto nie miał w co się ubrać, siedział w domu. Ja w pierwszym roku po przyjeździe poszłam do III klasy. Z nauką nie miałam trudności. Język rosyjski nie był dla mnie trudny. Uczyłam się do wojny, w II klasie ukraińskiego. Jeszcze chodziłam do IV klasy, a później zamiast do V rosyjskiej, chodziłam jeszcze rok do IV, bo wolno było uczyć dzieci polskie od I do IV klasy po polsku.

Była z nami we wsi pani Jadwiga Lorencowa, nauczycielka, która sama uczyła wszystkie polskie dzieci. Podręczników żadnych nie było, oprócz polskiego. Resztę przedmiotów tłumaczyła z rosyjskich podręczników. Uczyłam się dobrze w III klasie, ale miałam obniżone oceny za to, że nie chciałam należeć do "pionierów" i za noszenie medalika. W czwartej klasie uczyła mnie pani Lorencowa, od której otrzymałam lepsze oceny.

Do wybuchu wojny w 1941 r. otrzymywaliśmy listy od Ojca z Węgier, listy od rodziny z Polski, kilka 5 kilogramowych paczek z żywnością oraz przekazem pocztowym kilkaset rubli za sprzedane na licytacji pozostawione mienie - nadawcą było NKWD w Lesku.

Już nie pamiętam, czy to było pierwszej zimy 40/41 czy później, kiedy to dla Polaków nadeszła pomoc z Ameryki: koce i tłuszcz. Otrzymaliśmy na 5 osób 2 koce i chyba był to smalec.

Polacy wybrali między sobą "męża zaufania". Był nim pan Kazimierz Piotrowski. Starszy pan, załatwiał różne sprawy dotyczące Polaków i nieraz jeździł do rejonu i obłasti.

Gdy wybuchła wojna kontakt ze światem prawie całkiem się urwał, prawie żadne wiadomości do nas nie docierały. Nie było nam dane przeżyć bombardowań i świstu kul, front był od nas daleko, ale za to przeżyliśmy to, czego inni ludzie nie potrafią sobie nawet wyobrazić. Żyliśmy w strasznej biedzie. Za pracę niewiele płacili, czasem dawali trochę zboża, słomy i suszonego obornika na opał. Wszystko jako zaliczkę, a później po obrachunku rocznej pracy okazywało się, że za dużo dali. I tak zostawał niekończący się dług, rosnący z roku na rok. Oprócz zaliczek, pracujący otrzymywali 200 g chleba. Nieraz była to tylko garść okruszyn, zależy, z czego chleb był pieczony, z jakiego zboża była mąka. Do tego pracujący w polu otrzymywali 1 litr jakiejś zupy, np. kaszę jaglaną na wodzie okraszoną trochę olejem rzepakowym. Czasem, gdy w zupie gotował się kawałek baraniny, to kawałek mięsa też się znalazł. Mama, jak wiedziała, że do domu wróci w tym dniu to zostawiała połowę zupy dla mnie. Gdy przyjechała wołami późno w nocy, to ja miałam ucztę. Jadłam tą zimną zupę. Często w dzień jadłam tylko trochę jeden raz. Żyliśmy w niedostatku, brak było wszystkiego: soli, mydła, nafty, nici, zapalek. Nie było czym pracować, ani się myć, dlatego

nie można było wytępić wszy, które nie omijały nikogo. Po ogień chodziło się do domu ze starym garnkiem, gdzie szedł dym z komina.

Z roku na rok ubożeliśmy coraz bardziej. Wszystko niszczyło się i wydzierało, a do tego Mama coraz to wymieniała coś na nabiał u gospodyń w naszej wsi: resztę odzieży, bielizny pościelowej, naczyń kuchennych. Niektóre nasze rzeczy były wymienione lub sprzedane na bazarach w rejonie lub w Aktiubińsku, np. maszyna do szycia. Mama nie szyla, bo brakowało nici. Do powiatu na bazar też Mama jeździła kilka razy. Jeśli coś sprzedawała za pieniądze, to od razu kupowała tam żywność. Zawsze mi było żal każdej naszej rzeczy, z którą trzeba było rozstać się. Prawie wszystko szło za bezcen np. średniej wielkości złoty pierścionek, całkiem jak nowy, kupiony przed samą wojną w 1939 r. Mama oddała za 5 litrów prosa. Kupiła go we wsi nauczycielka. Mama tylko powtarzała, że to wszystko to rzecz nabyta, żebyśmy tylko zdrowi byli i przetrwali.

W 1943 r. w zimie było bardzo ciężko. Panował prawie głód, trudno było coś zdobyć. Kto miał żywność, trzymał dla siebie. W kołchozie na jakąś dziwną chorobę chorowały konie, a do tego jeszcze miały świerzb. Były leczone, ale bez skutku. Padały jeden po drugim. Mama pracowała wówczas w stajni. Dyżury przy chorych koniach trwały dzień i noc na zmianę. Z każdej padniętej sztuki Mama musiała zdjąć skórę, to był obowiązek. Mięso trzeba było jeść, bo prawie niczego nie można było dostać ani wymienić. Mama powiadamiała zawsze Polaków, żeby przychodzili przed Niemcami po mięso.

Przez cały czas byliśmy pozbawieni na wsi opieki lekarskiej. Do 1941 r. czerwca był punkt sanitarny, gdzie zatrudniony był felczer - Rosjanin, ale został powołany na wojnę. Placówka ta była marnie wyposażona. Oprócz termometru prawie niczego tam nie było, tyle, że lżejsze choroby potrafił rozpoznać. Długo było nieczynne. Gdy przywieźli kilka rodzin Rumunów do Michajłowki, punkt sanitarny został ponownie czynny. Pracowała tam felczerka Rumunka. Za cały czas naszego pobytu jeden raz, w 1942 r., na wiosnę, przyjechali z powiatu i szczepili całą ludność wsi przeciw tyfusowi brzuszemu. Szczepienie było trzykrotne, w odstępach tygodniowych. Były to zastrzyki w przedramię, po których wszyscy chorowali. Pojawiały się duże obrzęki i wysoka temperatura. Na tyfus brzuszny ludzie chorowali tylko w lecie. Tyfus był najgroźniejszą chorobą. Przeważnie każdy umierał i tego wszyscy baliśmy się

najbardziej. Chorych na tyfus zabierano przymusowo do szpitala na oddział zakaźny i tam umierali. Szpital powiadamiał rodzinę i koniec. W Michajłowce z Polaków zmarły na tyfus brzuszny 2 osoby, których nie zdążono odwieźć do szpitala, a jedna w szpitalu w powiecie. Wszystkie inne choroby i dolegliwości, których nie brakowało w wycieńczonych organizmach były nieleczone. Tamtejsi ludzie znali trochę sposobów znachorsko-ludowych i w miarę potrzeby pomagali Polakom. Kiedy w czerwcu 1942 r. użądliła mnie żmija w nogę, starsza kobieta Niemka uratowała mi życie. Polacy nie znali na to sposobu.

Gdy organizowano Polską Armię z naszej wsi do wojska nikt nie poszedł, tylko dwaj bracia Krajnik Sławek i Michał pojechali do junaków, bo byli za młodzi do wojska.

W naszej wsi nic takiego strasznego nie działo się, Polacy nie stawiali oporu, nie buntowali się. Pracujący wykonywali polecenia brygadzystów. Przez cały czas pobytu w Kazachstanie Polakom kilka razy zmieniano dokumenty. NKWD przyjeżdżało coraz to z powiatu i razem z prezydentem kołchozu na zebraniach usiłowało Polaków nakłaniać, żeby wstąpili do kołchozu. Nikt ich nie posłuchał, każdy tłumaczył, że nie ma majątku na wkład. Oni odpowiadali, że wystarczą ręce do pracy. Członkostwo w kołchozie równałoby się przyjęciu obywatelstwa rosyjskiego. Na zebraniach, które trwały po kilka godzin po pracy, do późnych godzin nocnych, krzyczeli, że Polacy siedzą na walizkach myśląc jak by do Polski wrócić, mówili „My was tu na wycieczkę nie przywieźli - jak rak wylezie na dach i gwizdnie i wtedy wy Polskę zobaczycie”. Po takich zebraniach robiło nam się jeszcze smutniej. Ludzie wątpili w swoje nadzieje, płakali, rozpaczali, zbierali się po cichu na wspólne modlitwy i śpiewali pieśni do Boga. Jedni drugich podtrzymywali na duchu i znów powracała nadzieja, że może kiedyś powrócimy do Polski. Przez cały czas bez prawdziwych wiadomości. Radia nie było, gazety wszystkie przeterminowane, w języku kazachstańskim "Prawda", ale co w niej było prawdziwego... My czekaliśmy na pomyślne wiadomości dla nas. Od wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej od Ojca nie mieliśmy żadnych wiadomości, ani z Polski od Rodziny.

Mijał rok za rokiem naszej niewoli w nędzy, strasznych upałach w lecie i w mrozach na kilkadziesiąt stopni w zimie. W lecie brakowało chłodu i cienia, studnie

wysychały. Deszcz padał tylko kilka razy w czasie naszego pobytu. W zimie straszne mrozy, zamiecie śnieżne. Ciężko było nam przyzwyczać się do tego klimatu.

Tubylcy dobrze nas traktowali, nie było nienawiści wśród mieszkańców wsi do Polaków. Wieś zamieszkiwały 62 rodziny, z czego 49 rodzin to Niemcy. Oni też byli gorzej traktowani. Co kilka lat były masowe aresztowania mężczyzn. Ostatnie z nich odbyło się na krótko przed naszym przyjazdem i nikt z aresztowanych nigdy nie wrócił, ani nikt nigdy nie dowiedział się, co z nimi się stało. Niemki trochę politykowały z Polakami, miały zaufanie do nas. Zwłaszcza osoby starsze opowiadały jak za cara żyli wszyscy w dostatku. Czekwały też na swoje wyzwolenie.

Przyszła wczesna jesień w 1944 roku. Mama pracowała 15 km od wsi przy zbiorze warzyw, a ja Jej pomagałam. Gdy wracaliśmy do wsi wiozły nas wozy. Gdzieś w połowie drogi spotkał nas prezydent. Jechał "tarantsem" nam na spotkanie i oznajmił, że jutro rano Polacy mają być gotowi do odjazdu. O 8:00 rano, 27.IX.44 r. zbiórka przed Selsowietem. Mama i Ciocia nie spały tej nocy. Szykowały się do podróży, piekły placki na drogę. Rano Mama zbudziła nas, dała nam jeść i poszliśmy na miejsce zbiórki. Tam już czekało kilka drabiniastych wozów zaprzęgniętych w woły. Załadowano wszystkich i ruszyliśmy z powrotem. Trzeba było dojechać do stacji kolejowej Martuk. Jechaliśmy kilka dni wołami, przeprawialiśmy się przez głęboką rzekę na drabiniastych wozach, byliśmy przemoknięci i wystraszeni. Nareszcie dojechaliśmy do Martuka, gdzie czekał nas transport wagonów towarowych. W niektórych wagonach już byli Polacy z innych miejscowości. Nikt nie wiedział, dokąd nas powiozą. Wszyscy niepokoił się, martwili, że może w jeszcze gorsze miejsce trafimy. Wojna trwała jeszcze i wiadomo było, że prosto do Polski nie możemy jechać choćby nawet chcieli nas tam zawieźć. Załadowano nas znowu do wagonów towarowych i jechaliśmy. Okazało się, że jedziemy w kierunku Polski. Ludzie cieszyli się niezmiernie. Jechaliśmy ponad miesiąc (27.IX.1944 - 05.XI.1944), aż nasz duży transport zatrzymał się na przystanku w małej wiosce Nowy Szpejer na Ukrainie. Polakom kazano przenieść się do wsi Stary Szpejer, odległość 7 km. Trzeba było przejść pieszo i przenieść, co kto posiadał. Wieś Stary Szpejer była duża jak miasteczko, domy okazałe, murowane, otynkowane z werandami oszklonymi kolorowymi szybami. Domy stały w kilku długich rzędach, co tworzyło kilka ulic wzdłuż i wszerz. Wieś była cała wyludniona. Podobno mieszkańców wysiedlono do Kazachstanu - byli to niemieccy osadnicy. Zajęliśmy nieduży pusty domek, bez żadnych sprzętów. Do spania

Mama zrobiła prycze, z cegieł nóżki, a zdjęte drzwi z zawiasów położone na ceglach, zaścielone suchymi liśćmi z kukurydzy, przykryte starymi kocami - do siedzenia i spania. Powiedzieli nam, że najdłużej na miesiąc zatrzymujemy się w tej miejscowości, ale jak się okazało mieszkaliśmy tam jeszcze rok. Ludzie szukali pożywienia i nic nigdzie w pobliżu nie można było znaleźć. Od razu żywiliśmy się podsuszonymi winogronami, których było pełno na plantacjach. Winogrona te były na krzakach i pod krzakami w opadłych liściach. Był listopad.

W niedługim czasie wybuchła epidemia tyfusu plamistego. Nie ominęła naszej rodziny. Najpierw zachorowała Mama i średnia siostra. Po kilku dniach choroby straciły przytomność, tylko coś majaczyły przez sen. Nie było żadnej pomocy lekarskiej, byliśmy bezradni, chorym nie było można w niczym pomóc. Tylko co parę godzin wlewaliśmy im do ust po kilka łyżeczek letniej przegotowanej wody.

I tak nadszedł dzień 8.XII.1944 r. Dzień najsmutniejszy dotąd w całym moim życiu. Zasnęła na wieki moja Najdroższa Mama, nie odzyskawszy przytomności. Po takim ciężkim życiu, wypełnionym po brzegi troską o nas, pracą ponad siły i rozpaczą. Martwiła się, czy życia jej starczy żeby nas wychować. Odeszła tak cichutko ... Nawet nie usłyszałam głośniejszego oddechu. 16.XI.44 r. skończyła 38 lat. Zostawiła nas biedne sieroty na obczyźnie- nie doczekała. A było już blisko do końca niewoli ... Tak mi żal, że nie mam nawet grobu mojej Matki. Dziś po tylu latach słowa te piszę przez łzy.

Siostra ledwo przeżyła, prawie nie oddychała, spała nieprzytomna. Ktoś doradził, żeby położyć jej lusterko na usta i ukazała się odrobina pary na lusterku. Przeżyła, a już miała zdjętą miarę na trumienkę. Dla mojej Mamy znajomy pan Belach - stolarz z Leska, sklecił coś, co trudno nazwać trumną, bo nie było desek. Pochowaliśmy Mamę. Gdy siostra oprzytomniała pytała się gdzie jest Mama. Mówiłam, że pojechała na bazar do Odessy. W końcu zmuszona byłam powiedzieć jej prawdę, że Mama nie żyje. Co ona wyprawiała gdy ją zaprowadziłam na grób Mamy! Krzyczała żeby mamę odkopać, bo ona chce się pożegnać.

Niedługo przed Bożym Narodzeniem 1944 r. zachorowaliśmy. Ciocia, ja i najmłodsza siostra. Początek choroby pamiętam, a później straciłam przytomność. Leżaliśmy tak we trójkę, a opiekowała się nami średnia, dziewięcioletnia siostra.

Podawała nam roztopioną ze zgarniętego śniegu, mętną, nieprzegotowaną wodę. Wody ze studni nie mogła nabrać, bo studnia była na "żuraw", który był cały oblodzony i drewniane wiadro też, trzeba było więc siły i sprytu żeby nabrać wody. Gdy oprzytomniałam zobaczyłam, że Ciocia nie żyje. Pytałam siostrę, co Ciocia robi, ona odpowiedziała, że śpi tak już kilka dni, ale ona ją wodą poi przez cały czas. Wtenczas zaczęłam płakać. Kazałam siostrze iść do pani Biodrowiczowej. Jeśli żyje i może, niech przyjdzie. Ja byłam taka słaba, że nie mogłam wstać na nogi. Siostra poszła. Przyszła pani Biodrowiczowa i zdecydowała, że nas zabierze do siebie. Ona z trzema córkami kilkunastoletnimi przeżyła tyfus, wszystkie przetrwały. Posłała znów moją siostrę po swoje córki. Gdy przyszły zabrały nas do siebie. Mnie i najmłodszą siostrę musiały przenieść, bo nie byliśmy w stanie przejść, chociaż było niedaleko. Zabrały wszystko, co było nasze. Tylko Ciocia została ...

Pani Biodrowiczowa zadbała, żeby Ciocię pochować. Nie znaleźliśmy dokładnie daty śmierci. Ustalono 6.I.1945 r. Przeżyła 36 lat. Aktów zgonu zmarłych na Ukrainie Polaków nie wydawano, nie było żadnego Urzędu w tym czasie, gdy Polacy masowo umierali na tyfus.

Przeżyliśmy tyfus plamisty bez odrobiny lekarstwa, w nieopalonych mieszkaniach, o głodzie. Ile człowiek może wytrzymać? Naprawdę dużo.

Po śmierci Cioci rozpaczalam podwójnie. Ciocia była naszą Chrzestną Matką. Obiecała, że jak będzie żyć, zastąpi nam Mamę, że poświęci się dla nas, ale los okrutny chciał inaczej. I tak miałam podwójną rozpacz po Ich śmierci. Najbardziej obawiałam się, że jeśli w krótkim czasie nie wyjedziemy, zabiorą nas do "Diet-Domu", że Polacy wrócą do Polski, a my zostaniemy w Rosji, bo byliśmy małoletnie i może nikt nigdy nie upomni się o nas.

Mieszkaliśmy u pani Biodrowiczowej w kuchni, miałyśmy żelazne, dość szerokie łóżko, które dla trzech chudzielców wystarczyło. Pomału dochodziłam do zdrowia po tyfusie, zawroty głowy ustępowały, włosy przestawały wypadać, tylko miałam apetyt, a jeść nie było co. Głód bardzo dokuczał. Musiałam sobie dawać radę, bo miałam 2 siostry, którymi musiałam się opiekować. Trzeba było je wyżywić, choć raz na dzień, żeby dostały coś do jedzenia, żeby dusza nie wyszła z ciała.

Przyszła wiosna 1945 r. Wkoło wsi były pola, na których zostało zboże. Może już nie było komu zebrać, gdyż mieszkańców wysiedlono? Na tych nieskoszonych ścierniach było dużo nieforemnych, jak gdyby grobów. Początkowo myśleliśmy, że są to groby poległych żołnierzy, ale ktoś przypadkowo odkrył taką mogiłę. Była pełna kłosów zboża. Były to kopce zrobione przez chomiki. Dzięki chomikom można więc było zdobyć zboże. Z kopców zdejmowaliśmy warstwę ziemi i wybieraliśmy te kłosy, które nie były zrosnięte. Można było się pożywić. Jak było zboże, była mąka i kasza, choć niewiele. Ludzi było dużo, wszyscy chodzili do kopców po kłosy.

We wsi zaczęto organizować kołchoz. Przywieźli duży transport Ukraińców z całym dobytkiem. Byli to Ukraińcy z Wołynia. Oni mieli prawo zabrać ze sobą wszystko, co posiadali, w każdej ilości. Dużo domów było jeszcze pustych, gdyż Polacy nie zajęli wszystkich i dużo ludzi zmarło. Domy te zajmowali Ukraińcy. Nie podobało im się, że zostali wysiedleni. Zaczęli uciekać, ale zawracali z powrotem. Dorośli Polacy trochę pracowali w kołchozie na wiosnę. Trzeba było ugory zaorać i poobsiewać.

Nareszcie wojna się skończyła. Dowiedzieliśmy się o tym trochę z opóźnieniem. Była wielka radość. Mieliśmy coraz większą nadzieję na powrót do Polski. Minęło lato, przyszła jesień, była praca w kołchozie przy zbiorze kukurydzy. Polacy pracowali dorywczo w kołchozie. Wiadomo było, że jesteśmy tymczasowo. Co odważniejsi z młodzieży zaczęli ryzykować, jechali na własną rękę, przeważnie bez biletów, towarowymi pociągami do Lwowa. Tam już był czynny Urząd Repatriacyjny. Wydawali karty zezwolenia na wyjazd do Polski.

Po wyjeździe grupy młodzieży za kilka tygodni, nadszedł list, żeby przyjeżdżać śmiało. Trzeba było zdobyć pieniądze, żeby mieć za co kupić bimbru od Ukraińców, którzy go produkowali. Bimber był potrzebny dla kolejarzy na łapówkę. Już nie miałam nic do sprzedania, oprócz Ojca garnituru, który przetrwał najdłużej. Polacy szli na bazar do Odessy, dałam żeby mi sprzedali. Kupił jakiś Cygan za gotówkę.

Pani Biodrowiczowa postanowiła jechać do Lwowa i mnie namówiła, bo naprawdę nie mieliśmy po co tam dłużej zostawać. Ona już niczego nie miała, żeby sprzedać. Dałam jej te pieniądze, żeby rozporządzała. Zostałyśmy już tylko w tym, co na sobie, z jednym tobołkiem, ze zniszczoną poduszką i pierzyną. Postanowiłyśmy jechać. Upiekłam kilka placków z reszty mąki. Poszłam z siostrami na cmentarz,

zanosiliśmy trochę zielonych gałązek, pomodliliśmy się, pożegnałyśmy groby. Wzięłam po kilka grudek ziemi z grobów Mamy i Cioci, którą to ziemię przechowuję po dzień dzisiejszy jak relikwie. Wróciliśmy z Cmentarza do domu i w tym dniu, a było to 23.XI.1945 r., wieczorem wyjechaliśmy w kilka rodzin wynajętą ciężarówką do stacji kolejowej Waterłowo. Kierowca jechał z kolchozu służbowo. Załatwiono to z kolejarzami za bimber i pieniądze. Wsadzili nas do pustego towarowego wagonu. Pociąg jechał w kierunku Lwowa. Nakazywali tylko, żeby na postoju siedzieć cicho. I tak parę razy przesiadaliśmy się do innych pociągów. Wyrzucali nas jak otworzyli wagon jako pusty. Za każdym razem kolejarzom trzeba było coś dać. Po kilku dniach dojechaliśmy do Lwowa, w wagonie krytym, w którym była załadowana dość gruba warstwa rudy żelaznej. Byliśmy wszyscy umorusani i przeziębieni. Od tej rudy ciągnęło zimno jak od żelaza.

We Lwowie umieszczono nas w schronisku. Była to dość obszerna kamienica, której parter odstąpiły siostry zakonne. Kilka pokoi zajmowali ludzie. Nie było w nich żadnych mebli, tylko na podłogach legowiska z resztek pościeli i zawsonych łańchmanów. Tak było ciasno, że trudno było przejść, gdy ktoś musiał wyjść po zapełnieniu całej podłogi. We Lwowie byliśmy kilkanaście dni.

Pani Biodrowiczowa kilka razy chodziła do Urzędu Repatriacyjnego, póki nie dostała karty na wyjazd. Miała duże trudności przez nas. Posądzono ją, że wiezie nie wiadomo czyje dzieci. Przedstawiała dokumenty naszej Mamy, ale to dla nich było za mało wiarygodne. W końcu udało się. Wpisali nas do Jej Karty Repatriacyjnej. Gdy już wszystko było załatwione, ze stacji we Lwowie dojechaliśmy do Przemyśla. W Medyce była kontrola, sprawdzali wszystkim dokumenty dokładnie. Powstała panika, że Rosjanie będą odbierać złoto pasażerom pociągu, bo jechało do Polski kilka wagonów osobowych Polaków i Żydów i niektórzy jeszcze co nieco posiadali. Ja też obawiałam się, bo wiozłam na szyi zawieszony woreczek - w nim pamiątki rodzinne. Złote obrączki ślubne rodziców, złoty zegarek po Babci, Ojca Matce, kolczyki złote po Mamie. Dałam jednej znajomej dziewczynie, ona miała przekłute uszy i mogła założyć kolczyki.

16.XII.1945 r. przekroczyliśmy granicę. Całą drogę opiekowała się nami pani Biodrowiczowa z córkami. Dużo Im zawdzięczam i nadal mile wspominam.

W Nowym Sączu, gdy czekałyśmy na pociąg do Zagórza spotkał nas na poczekalni młody człowiek, który zainteresował się takimi obdartymi dziećmi. Zapytał, dokąd jedziemy i skąd wracamy? Okazało się, że to nasz kuzyn Jan Berezik z Leska. I tak poznaliśmy się po 6 latach nieobecności. Zaraz nam kupił w bufecie gorący posiłek. Przywiózł nas do swojej Matki, a naszej Cioci. W miarę możliwości Rodzina i Opieka Społeczna nam pomagała. O Ojcu nie wiedziałyśmy nic. Byłyśmy traktowane jako sieroty. Była propozycja umieszczenia nas w Sierocińcu. Moje siostry na wiadomość o tym płakały i prosiły mnie, żeby ich nigdzie nie oddawać, że chcą być ze mną. Miałyśmy być rozłączone, one razem, ja osobno, bo miałam już prawie 16 lat. Żał mi było sióstr i na razie nie chciałam ich nigdzie oddać. Obie poszły do szkoły, a ja byłam w domu. Wszystko robiłam sama tak jak umiałam i potrafiłam. Mieszkałyśmy w naszym domu w Lesku.

W Lecie 1946 r. odnalazł się nasz Ojciec. Po powrocie z Niemiec zamieszkał w Lubsku na Ziemiach Odzyskanych od VIII.1945 r. Ojciec, gdy tylko dowiedział się, że z Rosji nadchodzą transporty z zesłańcami, napisał list do naszej Cioci, Mamy siostry, Ludwiki Szatkowskiej do Nadolan k/Sanoka i pytał czy nie ma wiadomości o nas. Ciocia mu odpisała, że dzieci wróciły same do Leska. Zaraz do nas napisał i niedługo przyjechał. Chciał nas zabrać na zachód, ale ja nie chciałam, płakałam. Żał mi było nasz dom znowu zostawiać. Ojciec zabrał średnią siostrę i pojechał. Ja zostałam z najmłodszą. Ciężko nam się żyło. Ojciec przysyłał nam pieniądze, ale nie za wiele, nie zarabiał dużo. Za rok sama napisałam żeby przyjechał po nas. I tak po raz drugi opuściłam rodzinne strony na zawsze. Od 10.VII.1947 r. mieszkam w Lubsku.

Opisałam nasze przeżycia i poniewierkę na zesłaniu w skrócie i może niezbyt dokładnie. Po tylu latach, dopiero w 1989 r. przyjęto mnie do Związku Sybiraków. Musiałam wypełnić formularz i w miarę możliwości co pamiętałam opisać.

Spis osób

Załączam spis osób, z którymi byłam wywieziona do wsi Michajlowka w Kazachstanie (znak krzyża to nieżyjący):

1. Adamek Maria †
2. Adamczyk Józefa, Edwarda, Zdzisław, Bolesław
3. Biodrowicz Maria, Anna, Bronisława, Wanda z Posady Leskiej
4. Białas Katarzyna z Matką
5. Biodrowicz Jan †, Aniela †, Eugenia †, Bronisława z Posady Leskiej
6. Rodzeństwo Dabrowskich brat i dwie siostry z Łomży
7. Krajnik Anna, Michał, Sławek
8. Kabaj Karolina, Michalina z Posady Leskiej
9. Lorenc Jadwiga i syn
10. Leliwa Maria i Córka
11. Madej Karolina
12. Nahurska Maria syn Jerzy z Zagórza
13. Nebesio Matka, Halina, Genia, Stanisława † z okolic Sanoka
14. Plichta Eugenia †, Władysława †, Janina z Mrzyglodu
15. Pastuszczyk Anna † i Jan †
16. Piotrowski Kazimierz, Honorata i Siostra
17. Tardowicz Helena †, Jerzy
18. Wonka Waleria †, Stanisława †, Zofia, Stanisława, Stefania z Leska.